

To, że zawód mam prawnika,
cóż, z tradycji to wynika.
Przecie nie jest to przypadek:
adwokatem był mój dziadek
i do tego, Boże mój,
był nim także i mój wuj.
Obaj twierdzili, niestety,
to nie zawód dla kobiety.
Tu rozprawa, tam obrona,
jakaż z ciebie będzie żona?
I dlatego, matko święta,
lepiej kształć się na rejenta.
Na te rady raczka spieklam
i w te słowa im odrzekłam:
Być rejentem, mocium panie,
to nie moje powołanie.
Więc postanowiłam zatem,
że zostanę adwokatem.
Lecz los z tego bywa znany,
że odmienne miewa plany.
Cóż, złośliwe tu nadmienię,
więc ląduję w PBN-ie.
Tak na chwilę, dla kurażu,
zahaczyłam się na stażu.
Zanim nie znajdzie się czego
- przywoitszego.
Praca tam mnie nie bawiła,
lecz kompania zacna była.

Fantazji nie było brak
gdy szliśmy w miasto,
wtedy szedł tak: Władek Knuplerz – późniejszy
Dyrektor PBN w Krakowie, a potem Prezes
RIN w Krakowie, Waldek Salagierski i Andrzej
Urbanik – późniejsi członkowie KRN, Jurek
Michalak – późniejszy pomysłodawca
i pierwszy redaktor „Kroniki Krakowskiej
Izby Notarialnej”, Ala Działowska i Jacek Kossak.
A że człowiek głupi, młody
od gospody do gospody
mały budżet, duże anse
więc zarznęliśmy finanse.
Ale zacna białogłowa
przyszła imć Urbanikowa
forse jakoś pozyskała,
z czarnej toni nas wyrwała.
Takoz w życiu jest, a juści,
kompaniję żal opuścić.
Próżne wszelkie dywagacje,
rozpoczęłam aplikację,
jak się wszyscy domyślacie
tak, niestety w notariacie.
Doloż moja, doloż, doloż, opankana
kariera rejenta widać mi pisana.
Dalej prozą będę wić
moich wspomnień barwną nić...

NOTARIAT „WCZORAJ”

Magdalena Chlanda*

Po miesiącu aplikacji zostałam delegowana na zastępstwo do pełnienia obowiązków notariusza w PBN w Słomnikach. Dzisiaj jest to nie do pomyślenia. Nasz ówczesny szef – Wizytator Notarialny – stwierdził, wysyłając mnie tam: „pani sobie poradzi, niech mnie pani nie zawiedzie”. Jak bardzo byłam przerażona, mogą sobie wyobrazić obecni aplikanci po miesiącu aplikacji.

Telefonowałam cały czas do mojego Patrona dr. Tadeusza Sikory, a w soboty z zebranymi danymi do umów, meldowałam się u niego na konsultacje. Przy pierwszej wizycie u mojego Patrona przyniosłam kwiaty dla jego żony. „A to co?”. Odpowiedziałam: „Kwiaty dla Pani Doktorowej, bo słyszałam, że jest chora”. „Wyzdrowieje i bez twoich kwiatków”. A z drugiego pokoju p. Doktorowa uspokajająco: „Ależ Tadzio”.

Mój Patron był człowiekiem wielkiej wiedzy i z ogromnym doświadczeniem zawodowym, ale z usposobienia choleryk i raptus. Strofowana byłam regularnie: „Pięc po ósmej, a ty się tu jeszcze malujesz w kuchence, w tej chwili do mojego gabinetu, bo ludność czeka”. Ale myślę, że mnie jednak mój Patron na swój sposób lubił, bo przyszedł wraz z naszym kochanym szefem

PBN w Krakowie, Notariuszem Janem Witkiem, do kolegiaty akademickiej św. Anny, żeby mi złożyć ślubne gratulacje. A jak się miał urodzić mój pierworodny syn, to p. Doktor chodził taki dumny (bo Doktorostwo nie mieli dzieci), jakby to miał być jego własny wnuk, i stwierdził, że się spisałam.

Na własną rękę w ramach zastępstwa udzielałam informacji, starając się nie popełnić jakichś kardynalnych błędów. Aliści pierwszego dnia klient (zwany przez mojego Patrona stroną – „ile razy mam ci powtarzać, że klient to w całkiem innym przybytku, a w czynności notarialnej uczestniczą stroną”) zapytał mnie o podatek dochodowy. Odpowiedziałam zgodnie z prawdą, że ja o takim nie słyszałam. Na co usłyszałam w odpowiedzi: „niech się panienka nie martwi, ja mam szwagra w geodezji, to on mi wszystko wyjaśni”.

Ponieważ aplikantami „zapychano wszystkie dziury kadrowe”, pełniłam też obowiązki notariusza w PBN w Krościenku. Przyjechałam, siadłam za biurkiem, zjawiał się pierwszy klient (zwany „stroną”) i po słowie „Pochwalony” zapytał: „To pani teraz będzie przy rejencji?”. Na co lojalna sekretarka: „To jest pani rejent z Krakowa, na zastępstwo, bo nasz pan rejent jest w sanatorium”. A na to chłopina: „No to

* Emerytowany Notariusz w Krakowie.

pochwalony” i sobie poszedł. Przez dwa tygodnie miałam święty spokój. A po dwóch tygodniach sytuacja się powtórzyła, ale delikwent mnąc czapkę w rękach, zaczął jednak relacjonować sprawę, z którą przyszedł. Po chwili zadałam jakieś fachowe pytanie – bo byłam już wszak „steranym w bojach” aplikantem – na co z niezmiernym zdumieniem interesant zareagował: „Nie! To się pani na tym rozumie! Teraz mam już pekaes, ale jutro się wrócę”. No i moja „laba” się skończyła, bo się interesanci zwiedzieli i hurmem ruszyli do notariatu.

Inny koloryt panował w Miechowie (dawny zabór ruski): musiałam się zмагаć z księgami wieczystymi pisanymi cyrylicą, a w byłym zaborze pruskim – w Mysłowicach – były księgi wieczyste pisane ręcznie po niemiecku i to gotykiem. Byłam przerażona. W sukurs przyszła mi pracowniczka tego PBN, która stwierdziła: „Niech się pani nie martwi, ja jestem wdową po przedwojennym rejencie i wszystko pani wytłumaczę”.

Następnie zostałam przeniesiona do PBN w Myślenicach. Była tam taka młoda pracowniczka, dziewczynka, która dwa miesiące wcześniej skończyła szkołę. Mówiła: „Wie pani, ja to tak tych ludzi nienawidzę, jak się tak kłócą i awanturują, to nie wiem co bym im zrobiła”. Bardzo dobrze ją rozumiałam – dopiero co zdała maturę i siedziała w ławce szkolnej, a teraz przyszło jej się zмагаć z normalnym życiem. Powiedziałam, żeby się schyliła pod ladę, którą byliśmy w hipotece odgradzeni od „stron”. Może tam „ponadawać” ile wlezie, ale jak wychynie spod lady, ma być grzeczna i uśmiechnięta. Powiedziała, że to dobra metoda i że pomogło.

Po pięciomiesięcznym zastępstwie w PBN w Zakopanem miałam wielu znajomych na Podhalu. Pamiętam górala, który przyjeżdżał do Krakowa bodajże z Poronina. Na moje pytanie: „Opłaca się to Gaździe tak jeździć do Krakowa?” odpowiedział: „Pani, jo mom diesła, to dla mnie bez różnicy, a ja tylko do was mom zaufanie”! Innym razem klientka przyniosła mi w podarunku świetne, markowe pióro. Stwierdziłam, że przecież zapłaciła takse notarialną i nie mogę przyjąć tego prezentu. Na co ona: „Gdyby pani wiedziała, ile ja zarobiłam na tych pani poradach i informacjach, to by pani nie miała żadnych oporów. Niech pani przyjmie ten drobiazg, który dają ze szczerego serca”. Więc przyjąłam to pióro, które mi dobrze służyło do pewnego czasu. Aż pojechałam do więzienia na Montelupich, gdzie przebywał jako osadzony „alimenciarz”, który chciał podarować mieszkanie swojej bodajże 19-letniej córce. Jej matka bardzo mnie prosiła, więc niezbyt paląc się do tej misji, jednak pojechałam. Po wielu kontrolach („czy ma pani broń?”) dotarłam z ową córką (matka została w samochodzie) do sali widzeń. Chcąc sprawdzić dowód osobisty darczyńcy pozostawiony w depozycie, poszłam do sali, w której depozyty były przechowywane (zabrawszy ze sobą na szczęście torebkę). Po powrocie i odczytaniu aktu okazało się, że nie mam go czym odpisać, bo etui z moim podarowanym piórem zniknęło.

Po tych wymiernych wszak zasługach z 2,5-letniej tułaczki zostałam wreszcie delegowana z powrotem do pracy w Krakowie. W ramach dokształcania skierowano mnie wówczas na roczne studium podyplomowe dla notariuszy do Poznania, zorganizowane na Uniwersytecie Adama Mickiewicza. Byliśmy pierwszym rocznikiem

i „upiekło się” nam, bo nie musieliśmy pisać pracy końcowej. Dopiero się na nas uczono i następne roczniki już takie prace pisały. Te studia były na bardzo wysokim poziomie, wykładali profesorowie z Uniwersytetu, a kursantami byli wybitni notariusze, m.in. not. Zenon Jabłoński, późniejszy prezes KRN. Był to już mój trzeci uniwersytet w życiu, bo oprócz UJ skończyłam również w czasie aplikacji (obowiązkowo) WUML – Wieczorowy Uniwersytet Marksizmu–Leninizmu. Nasz szef twierdził, że powinien się nazywać PUML- Poranny UML, bo wychodziliśmy z Sądu około godz. 11.00 (żeby się aby nie spóźnić!) i szliśmy na ul. Dietla, zahaczając po drodze o kawiarnie i przybytki oferujące inne napoje. Następnie podpisywaliśmy listę i wychodziliśmy. Pewnego razu zostaliśmy, żeby przeczekać, bo strasznie lało. Była akurat etyka, a na niej temat estetyka. I zaczęliśmy – z nudów – serio dyskutować czy kicz jest kiczem, czy dziełem sztuki etc., etc. Trzeba było widzieć Towarzysza Rektora, który jak na meczu tenisa przenosił wzrok z jednego dyskutanta na drugiego i patrzył na nas oniemiały. Pierwszy raz była taka frekwencja na zajęciach i taka na serio dyskusja, z której, podejrzewam, niewiele percypował. No, ale deszcz ustał i przedstawienie się skończyło.

Tak wyedukowana powróciłam do PBN w Krakowie, które było zaiste miejscem szczególnym. Z jednej strony miejscem, w którym lądowały rozlatujące się biurka i niezamykające się szafy (sama miałam taką w pokoju), których sądy chciały się pozbyć. A z drugiej strony, kapitalny zespół świetnych prawników, pamiętających jeszcze czasy, gdy rejent był panem w pewnym wieku, w dobrze skrojonym garniturze z angielskiej wełny. Panie były bowiem w PBN w Krakowie

w mniejszości. Można więc bez obawy stwierdzić, że nie do końca było im po drodze z wizytatorem notarialnym, zaimportowanym z innego województwa, który chciałby rządzić w notariacie.

A teraz dygresja – mam „nazwanko na po domu” Tina, które wymyślił mój młodszy o rok brat, jak się uczył mówić. Bardzo się tego wstydziłam, ale sprawa się wydała. Doszło to i do naszego wizytatora, który miał zwyczaj wzywać mnie do swojego gabinetu na II piętrze Sądu i zaczynał bez wstępów: „Pani Tino dzisiaj się zapisujemy do partii”. Na takie dictum streściłam film, który ostatnio oglądałam, za drugim razem sztukę teatralną, a za kolejnym właśnie przeczytaną książkę i wreszcie się te usiłowania zakończyły.

W PBN w Krakowie był osławiony pokój nr 94, gdzie urzędował notariusz dyżurny. Bardzo trudna i niewdzięczna to była funkcja – najczęściej – tłum ludzi zdenerwowany oczekiwaniem, wachlarz spraw najróżniejszy, cały czas napięta uwaga. A zdarzały się też incydenty niebываłe, np. klientowi w oczekiwaniu w kolejce do kasy ukradziono portfel.

Mnie w tym pokoju też przydarzyła się przygoda – siedząc za biurkiem i udzielając porad i wyjaśnień stronom, zobaczyłam sunącą pod oknem najspokojniej w świecie całą myślą rodzinę. Wskoczyłam czym prędzej na krzesło, na którym uprzednio siedziałam, po czym z grzecznym „przepraszam” wybiegłam do hali maszyn – tak nazywano pokoje maszynistek piszących akty. Usłyszałam, że tu jest sąd, tu na żadne histerie nie ma miejsca i mam natychmiast wracać do pracy, bo nikt mnie zastępować nie będzie.

W hipotece z kolei rządził woźny, pan Władysław Piątek. Chodził w oficerkach

** Magdalena Tina Dębska-Chlanda – w ciągu pięciu kadencji w latach 2003 – 2018 członek Wyższego Sądu Dyscyplinarnego przy Krajowej Radzie Notarialnej w Warszawie, absolwentka Wydziału Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego oraz Podyplomowych Studiów dla Notariuszy na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, pełniła obowiązki notariusz w PBN w Słomnikach (w tym hipoteka w Miechowie), Krościenku (hipoteka w Nowym Targu), Jaworznie, Mysłowicach, Myślenicach, Proszowicach i Krakowie, zainteresowania: podróże, narciarstwo, turystyka górską, uczestnictwo m.in. w Rajdzie Notariusza w 2011 r. Włochy – Dolomity Val di Fassa, w 2017 r. Szwajcaria – Alpy Matterhorn, brydż – złoty medal w brydżu sportowym na Olimpiadzie Notarialnej 2010 r., miłośniczka muzyki (członek Stowarzyszenia Przyjaciół Filharmonii Krakowskiej od 2012 r.) i sztuki (członek Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych od 1996 r. i członek Komisji Rewizyjnej tego Towarzystwa od 2001 r.).

i ludzie z respektem zwracali się do niego: „Panie kierowniku, panie dyrektorze, panie inżynierze”, na co nieodmiennie słyszeli „ja nie jestem żaden kierownik, dyrektor, inżynier” etc. Interesanci już nie wiedzieli, jak go tytułować, żeby im tylko dobrze te księgi posprawdzał, bo trzeba przyznać, że na hipotece znał się jak mało kto.

Piszę te wspomnienia w lekkim tonie, ale serio mówiąc, ten zawód dostarczył mi wiele satysfakcji. Wdzięczności ludzkiej, której doznałam wielokrotnie w czasie lat pracy, nie da się kupić za żadne pieniądze.

Nie wspominałam tu nic o Wyższym Sądzie Dyscyplinarnym przy Krajowej Radzie Notarialnej. Orzekałam w tym Sądzie pięć kadencji, przez 15 lat. Kiedyś zadzwoniłam do naszej Rady, aby zapytać, od kiedy właściwie jestem członkinią WSD, na co od pracowniczki, która odebrała telefon, usłyszałam: „A pani rejent to jest w WSD od zawsze”.

Zdarzeń w WSD przez te 15 lat było wiele, ale to już – jak by powiedział Rudyard Kipling „zupełnie inna historia”.**

